



# WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci

Z DODATKIEM POWIEŚCIOWYM.



## Sadzenie drzew.

Jasne słońko ziemię suszy,  
Opłukaną z śniegu, z błota,  
A skowronek z całej duszy  
Nad ugorem pieśń szczebiota \*).

Początek wiosny! Nowa doba wskrzeszonego  
życia wśród pól i lasów, najodpowiedniejsza chwila  
rozpoczęcia pracy w sadach i na roli.

Dalej! dalej na rolę, korzystajcie z pory,  
Teraz czas krajać w skiby rozkrzepłe ugory;  
Teraz od łąk rowami odprowadzać wodę,  
I w miękkie dzikorośle szczepić różeczki młode \*).

Nasza wesoła gromadka bawiąca na święta Wiel-  
kanocne u wujostwa na wsi, postanowiła skorzystać  
z nadarżającej się sposobności i jakimś czynem z pra-

\*) Z poematu „Dni doroczne” W. Syrokomli.

\*) „Ziemiaństwo polskie” Kajetana Koźmiana.



ca około roli, czy też ogrodu związanym, upamiętnić swoją bytność.

A właśnie słyszeli, jak wuj wspominał o potrzebie posadzenia przy dworze kilku nowych drzew dla zastąpienia starych, przez wichry jesienne wyrwconych.

Urzeczywistnieniem tej myśli zajął się najstarszy Władzio, który do ogrodnictwa wielkie miał zamiłowanie i już wcale nieźle był z niem obznajmiony.

Na generalnej naradzie, w której wszyscy się dmioro, od Władzia zaczynając a na Hani kończąc, brali udział, jednogłośnie postanowiono, że z posadzeniem nowych drzewin koło dworu trzeba poczekać do wyjazdu wuja za interesami, aby po powrocie przyjemną zastał niespodziankę. Trudniej było osiągnąć zgodę co do rodzaju drzew, jakie mają być posadzone: poetyczna Mania twierdziła stanowczo, że tutaj najodpowiedniejsze miejsce na

Czeremchy, opłatane dzikich chmielów wieńcem,  
Jarzębiny ze świeżym pasterskim rumieńcem,  
Leszczyny, jak menady, z zielonemi berły  
Ubranemi, jak w grona, w orzechowe perły \*).

Bardziej praktyczny i prozaiczny Józio radził, „drzewa owocowe posadzać w rzędy,” ale wszystkich pogodził Andrzej, stary ogrodnik dworski, zwróciwszy uwagę, że cały dwór obsadzony jest kasztanami, więc dla harmonii w dalszym ciągu kasztany zasadzić wypada.

Wyjazd wuja w najbliższy czwartek poświęcony do sąsiedniego miasteczka był młodej gromadce na rękę, prędko też więc pod kierunkiem Andrzeja, zakrzętnęli się około przesadzenia kilku ładnych kasztanów, wyhodowanych w szkółce przez Władzia.

A z tą pracą zawinęli się tak prędko, że choć wuj wrócił wcześniej, niż zamierzał, zastał już dwór obsadzony młodymi kasztanami.

Więc pytania, pochwały i znowu pytania:  
W jaki sposób wyrosły tak prędko kasztany,  
Aż nie mogąc się wstrzymać i Hania i Mania  
Opowiedziały zdawna ułożone plany.  
Wuj słuchał rozrzucony i wreszcie w podzięce  
Ucałował ich wszystkich, uścisnął im ręce,  
A później do kolacyi gdy wszyscy pospołu  
Całą liczną rodziną zasiadli do stołu,  
Wuj zaraz zwrócił mowę w swych siostrzeńców stronę,  
Twierdząc, że gdyby wszyscy czynili jak one,  
Toby drogi i dwory, i wieśniacze chaty,  
Słowem kraj w drzew cienistych zastęp był bogaty,  
A dziś można przez pola wędrować z godziną,  
Nim się lipe gdzie spotka lub nędzną brzezina.

A. I. S.

## PSIE POLE.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA DLA MŁODZIEŻY

przez

Włodzimierza Trąpczyńskiego.

(Dalszy ciąg).

**P**obył w kraju, rozciągającym się nad brzegiem Warty i Noteci nie służył zdrowiu Władysława Hermana, a liczne błota i unoszące się z gęsto rozsianych jezior opary, powodowały duszności takie, że z wielką ostrożnością posuwać się musiano naprzód, urządzać częste i wygodne noclegi oraz rozciągać baczną pieczołowitość nad zdrowiem królewskim.

Orszak królewski, złożony z kilkudziesięciu woźów, za którymi znów podążały wozy wojewody i służby dworskiej, wolno zmierzał ku Poznaniowi, starym zaś obyczajem dłuższe postoje urządzać zamysłano w Kruszwicy, skąd ród wielkich Piastów wywodził swój początek, i w Gnieźnie, gdzie pierwszym władcom narodu arcybiskupi wkładali złociste korony na poświęcone skronie.

Obecność króla w Wielkopolsce wydawała się Sieciechowi w tych czasach tem konieczniejszą, że zausznicy przynieśli wojewodzie wielce niepokojące nowiny do Płocka. Stonóg węszył i wywęszył, że wielu możnych panów tamtejszych coraz wyraźniej objawia niechęć swoją do rządów wojewody, że odbywają się wiece i mniejsze zebrania, i że grozi bunt, jeźli monarcha łaskawością swoją nie zjedna przeciwników, a Sieciech twardą ręką nie poskromi opornych. W takich warunkach o zwłoce nie mogło być mowy i dwór wyruszył z Płocka ku Poznaniowi.

Wojewoda był pewny, że wystarczy kilka miesięcy, ażeby stosunki ułożyły się dobrze i po dawnemu, w wesołym też jechał usposobieniu konno, nie odstępując ani na krok kolasy królewskiej.

Dojeżdżano już do Kruszwicy, z oddali zamigotała tafla wód Gopla, a Mysia Wieża, jak punkcik mały ukazała się oczom orszaku.

— Bogu niechaj będą dzięki — cicho rzekł król i otworzył oczy, nad którymi w sennem omdleniu zapadały co chwila powieki.

— Te trudy podróży umęczyły mnie bardzo, przyda się też odpoczynek kilkodniowy.

— Przecież urządziliśmy jazdę najwygodniej — tłumaczył się Sieciech — nie żałowaliśmy puchów, a droga była dotąd dobra i ani razu nie potrzebowaliśmy zakładać wołów, ażeby z błota wyciągnęły pojazd waszej miłości.

— Stary jestem, mój wojewodo — odparł król — wszystko już męczy.

— Niedołęga — syknęła przez zęby Judyta i z nieawiścią spojrzała na męża.

Ale Władysław Herman nie posłyszał tych słów, poprawił się na siedzeniu i utkwivszy wzrok w majaczącej w oddali Mysiej Wieży, uśmiechnął się weselej.

— Zawszeć to miło znaleźć się w starem gnieździe naszym. Jakoś bezpieczniej, raźniej czuć się będę w Kruszwicy, tu wszyscy swoi, nie tak, jak tam w Płocku.

— Dobrze zatem się stało, że doradziłem wyjazd, — wesoło i z pewnym tryumfem w głosie zawołał Sieciech. — A ileż to trudów kosztowało, za nim nakłoniłem waszą miłość?

— Powtarzam ci, że stary jestem, nie znoszę trudów, a przytem złe miałem przecucia, ciężkie sny trapiły mnie nocami w ostatnich czasach.

— Sen mara, Bóg wiara — zaśmiał się wojewoda.

— Niby to prawda, a jednak dziwne to, że ile razy usnę, zawsze u łóżka mojego staje albo brat Bolesław w ubraniu pokutniczem, albo matka Zbigniewa.

— Raz już mógłbyś zaprzestać tych ciągłych wspomnień nędznego króla-zabójcy i tej kobiety z gminu, która co najwyżej mogła znywać schody, wiodące do tronu, ale nigdy nie powinna była stąpać po nich — z wielkim gniewem w oczach rzuciła cierpko Judyta.

Władysław Herman spojrzał z wyrzutem na żonę, ale nie wytrzymał jej wzroku, utkwionego w siebie, osunął się więc znów na poduszki, podparł prawą ręką, spuścił powieki i zdawało się, zasnął na nowo.

\*) „Pan Tadeusz” A. Mickiewicza.



Nie spał jednak król i tylko nie chcąc się narażać na klótnię, która nieraz ku zgorzeniu dworzan wybuchła pomiędzy małżonkami, wołał zamilknąć i pograć się w zadumie. Przed oczami niedołęznego starca rozsnuwały się dziwne obrazy, a Kruszwica przypominała mu młodość, ten najpiękniejszy, pogodny czas w życiu zarówno tych, co stworzeni są do noszenia purpury królewskiej, jak i tych, którym czas żebracze może przynieść łachmany.

Władysław Herman przypominał sobie w tej chwili wszystko i od czazu do czasu błogi uśmiech ukazywał się na zwiędłych policzkach starca. Pamięta, jak gdyby to było wczoraj, ową wyprawę na Mazowsze przy boku nieustraszonego brata Bolesława, pamięta ową chwilę, gdy nad wieczorem zatrzymali się w dzień słotny w puszczy Kampinoskiej i pamięta tę cudnej urody córkę zakutego w borach rycerza. Nic nie mówiąc, że jest synem królewskim zmówił się z dziewczyną, a ślubu dopełnił zawezwany z pobliza ksiądz. Wyprawa na Mazowsze skończyła się szczęśliwie i on młodą żonę zawiózł do Kruszwicy, gdzie byłby żył bodaj jak rolnik najwyczajniejszy, chadzałby za sochą i tulił syna Zbigniewa, gdyby nie mądre głowy, otaczające dwór królewski, a które nie chciały widzieć szczęścia dwojga młodych i kochających się ludzi. Zawyrokowano, że syn możnego rodu królewskiego nie może poślubić prostej córki, choćby najzamożniejszego rolnika, i rozłączono ich na zawsze. Ona umarła z bólu, a syn, Zbyszko, cóż się z nim dzieje?

Bolko, który siedział na wprost ojca i który w żywym usposobieniu swoim nie mógł się doczekać chwili dojechania do zamku, ujrzał dwie łzy ciężkie, spadające z oczu króla. Łzy te przeraziły chłopca.

Widocznie sny, o których wspominał ojciec, trapią go znów — pomyślał chłopiec i chrząknął, poruszył się silnie, ażeby przerwać zadumę.

Władysław Herman podniósł ociężałe powieki i zapytał cicho:

— Czy już stanęliśmy nad Gopłem?

— Za chwilę będziemy na miejscu — odparł Bolko raźnie.

— Bogu niechaj będą dzięki — wymknęło się znów z ust króla, który obejrzał się teraz, a nie widząc w pobliżu wojewody, zapytał:

— Gdzież Sieciech?

— Pocwałował naprzód, ażeby wszystko przygotować na godne przyjęcie waszej miłości — raportował jeden z dworzan.

— Jakież to dobry człowiek, jak mądrze zawsze wszystko umie obmyślić i przeprowadzić! Czegoż źli ludzie chcą od niego, przecież ja bez niego byłbym jak bez ręki prawej?

Sieciech istotnie wyruszył przed orszakiem, ale nie dojechał jeszcze nawet do dziedzińca zamkowego, gdy ujrzał na spienionym koniu pędzącego jeźdźca. Przypatrzył się bacznie jeźdźcowi i poznał wiernego Stonoga.

(d. c. n.)

## POD MIKROSKOPEM.

WIECZORY U MEGO PRZYJACIELA.

### Wieczór II-gi.

Nazajutrz zaledwie się ściemniło pobiegłem do pana S., który powitał mię z uśmiechem:

— Pospieszyles się, Karolku — zawołał — nie spodziewałem się ciebie tak wcześniej i nie jeszcze nie przygotowałem. Musisz cierpliwie poczekać.

— Ja wolę panu pomagać — wykrzyknąłem, widząc że pan S. zabiera się do przygotowania mikroskopu.

— I owszem — zgodził się mój przyjaciel — podaj mi tę szklaneczkę z wodą, która stoi na oknie.

Wypełniłem polecenie, przyczem zauważyłem, spojrzawszy pod światło, że woda w szklaneczce jest cokolwiek mętna i biaława.

— Przyglądasz się wodzie, nie jest apetyczna do picia, prawda? Ale zato będzie ciekawa do obejrzenia.

— To dzisiaj wodę oglądać będziemy przez mikroskop? — pochwyciłem.

— Tak; najpierw obejrzymy sobie kropelkę z tej szklaneczki, jest to woda zaczerpnięta ze stawu w ogrodzie, — później zaś, przypatrzymy się tej czystej, klarownej wodzie studziennej — mówił pan S. wskazując drugą szklanę. Zobaczysz sam, jaka jest między nimi różnica.

To mówiąc, pan S. spuścił kropkę mętnej wody na płytkę szklaną i umieścił ją, jak zwykle, pod rurką mikroskopu.

Spojrzałem i wydałem jednocześnie okrzyk zdumienia

— Ach! cóż tu dziwnych jakichś istot!

— No i cóż tam dostrzegłeś takiego?

— Jakaś niewielka przezroczysta plamka, porusza się ciągle, o już zniknęła! Znowu jest! O jest ich tu więcej, dwie, cztery, pięć! Co to jest, panie?

— To ameby. Pomówimy o nich później, a tymczasem przyjrzyj się uważnie i powiedz mi, czy nie tam więcej oprócz tych plamek, nie dostrzegasz?

— Owszem, widzę dużo maleńkich kropek i jakieś pałeczki, jakby cieniutkie patyczki.

— Te kropki, a raczej kulki i drobne pałeczki, to są bakterye. I o nich pomówimy.

— Jeszcze widzę coś ciekawego: jakby jakiś maleńki kieliszek z długim kręconym ogonkiem. O! trzy takie, jeden przy drugim!

— Są to zwierzątka, noszące nazwę „wirczyków” — objaśniał mój przyjaciel:

— Jest tu też coś jakby drzewko jakieś cieniutkie, niby niteczka, ma nawet gałązki w różne strony. Co tu tego! Co tu tego! Aż oczy bolą.

— A teraz obejrzymy kropkę wody z tej drugiej szklaneczki.

I pan S. zabrał oglądaną przeze mnie płytkę z kropką wody ze stawu, podsunął zaś inne szkiełko, na którym umieścił kropkę studziennej wody, przyczem zagadnął:

— Popatrz, Karolku, i powiedz, czy widzisz jaką różnicę pomiędzy kropką tej wody i tamtej, oglądanej poprzednio?

— Ależ w tej nic niema! — zawołałem z rozczarowaniem. — Mój złoty panie, niech mi pan jeszcze tantę pokaże!

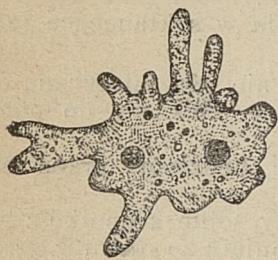
— I owszem! Teraz rozumiesz, dlaczego nie pijemy wody ze stawów i mówimy, że jest brudna. Sam widziałeś, jakie to mnóstwo przeróżnych drobnych istot w wodzie takiej mieszkają; niektóre z nich, a mianowicie bakterye, te właśnie kropki i nierzuchome drobnitkie patyczki, mogłyby nawet spowodować rozmaite choroby, dostawszy się do żołądka człowieka. W studziennej zaś wodzie istotek takich jest bez porównania mniej; ot, widzisz, w kropli, którą tylko co oglądałeś, nie dostrzegłeś ani jednej. Słusznie zatem mówimy, że woda ze studzien jest czystsza i lepsza do picia.

A teraz powrócimy znowu do tamtej, gdyż zdaje mi się, że chciałbyś zaznajomić się trochę z jej dziwnymi mieszkańcami, nieprawdaz?



— O tak, naturalnie — wykrzyknąłem z zapa-  
łem.

— Widzisz, jak zgadłem — mówił z uśmiechem pan S. — Więc najpierw zrobimy znajomość z ame-  
bą, tą drobną, poruszającą się  
plamką. Ameba jest to zwie-  
rzátko mikroskopijne, gołem  
okiem niedostrzegalne; przy  
pomocy tego przyrządu wi-  
dzisz ją w postaci plamki nie-  
wielkiej, są jednak mikrosko-  
py znacznie większe od mo-  
jego, silniej powiększające i  
gdybyś przez nie obserwował  
amebę, wówczas przedstawi-  
łaby ci się tak, jak na tym  
rysunku.



Ameba (b. powiększona).

I pan S. pokazał mi obra-  
zek, na którym zobaczyłem niekształtne plamki, po-  
szarpane w różnym kierunku.

— Czy wszystkie ameby są takie poszarpane —  
zapytałem — jak te na obrazku?

— Tak, gdyż ciało ameby jest gęstym plynem, nie posiada z wierzchu żadnej skórki, żadnej powłoki, dlatego może się rozciągać w różne strony, jakby się rozlewała. Mniej więcej w środku ciała każdej ameby płyn ten skupia się silniej, jest gęściejszy i przedstawia się jak ciemniejsza, okrągła plamka, którą tu na obrazku dostrzegasz.

— Widzę doskonale!

— Trzeba ci wiedzieć jeszcze, że choć ameba nie posiada ust, ani zębów, ani gardła, jest jednak ogromnie żarłoczna i pochłania nieraz po kilkanaście drobniejszych od siebie stworzonek. No cóż? Czy teraz poznasz nową znajomą, ujrawszy ją na rysunku, albo pod szkłem mikroskopu?

— O naturalnie! — zapewniłem — doskonale wiem, jak wygląda: prawie przezroczysta plamka, z ciemniejszą kropką w środku swego ciała, zmienia ciągle kształt i porusza się w wodzie. Wszak znam ją dobrze?

— Doskonale!

— A teraz, drogi panie, chciałbym się czegoś dowiedzieć o tych drobnych kieliszeczkach, z długim, kręconym ogonkiem?

— O wirczyku! A zatem posłuchaj, przedsta-  
wię ci nowego znajomego. Wirczyki są to również mikroskopijne zwierzątka, podobnie jak ameby. Za pomocą swego długiego ogonka przyczepiają się zwykle do jakiegoś przedmiotu, najczęściej po kilka lub więcej obok siebie. Jeśli jest spokojnie i cicho, wirczyki wydłużają swe ogonki, ale przestraszone czemś kurczą je nagle i przysiadają.

— Czy te kieliszeczki są u góry otwarte? — spy-  
tałem.

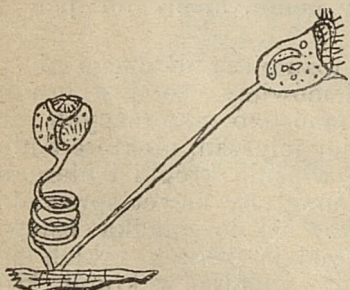
— Tak; na tym obrazku  
możesz dokładnie zoba-  
czyć.

To mówiąc pan S. po-  
kazał mi obrazek, na któ-  
rym jeden wirczyk sie-  
dział niziutko, drugi wy-  
ciągnął się sztywno ku  
górze.

— Widzę jakieś dro-  
bniutkie włoski przy ot-  
worze dzwoneczka —  
zauważyłem.

Wirczyk siedział niziutko, drugi  
wyciągnął się sztywno ku górze.

— Te włoski są bardzo  
potrzebne wirczykowi;  
porusza on nimi szybko i tym sposobem wpędza do  
środku mnóstwo drobniutkich istotek, które stanowią  
jego pożywienie.



— Umie sobie radzić! — zawołałem ze śmiechem  
— Amebę i wirczyka uczeni zaliczają do zwie-  
rząt, a te kropki i paleczki, to cieniutkie, nitkowate  
drzewko, które widziałeś w wodzie — do organizmów  
roślinnych i nazywają je bakteriami. Pomówimy  
o nich jutro.

M. Lipska.

## W obronie pokrzywdzonej.

**B**enjamin Franklin napisał był niegdyś prośbę  
o łaskę dla *lewej ręki*, zwróconą do tych, którzy wy-  
chowują dzieci. W prośbie tej lewa ręka uskarża  
się, że ją wychowują nie ucząc niczego, gdy tym-  
czasem dla jej siostry — bliźniaczki, prawej ręki, nie  
szczędzą starań.

„Ma ona nauczycieli, którzy ją uczą pisać, ryc,  
rysować, a jeżeli przypadkiem — mówi nieszczęśliwa  
ręka — ja ośmielę się dotknąć ołówka, pióra, igły,  
słyszę zaraz łajanie: nieraz nawet zostałam obita za  
niezręczność i zuchwalstwo.” Na zakończenie Fran-  
klin wylicza niedogodności, jakie pociągają za sobą ta  
jednostronność wychowania, w razie jakiegoś przy-  
padku, choroby, kalectwa, które spotykają rękę prawą.

Od czasów Franklina nie się nie zmieniło w lo-  
sach prawej ręki, której każą pracować za obie —  
ani lewej, którą zaniedbują po dawnemu. Czem  
jednak wytłumaczyć to, że tak zwani przez nasz lud  
„mańkuci,” to jest ludzie posługujący się lewą ręką,  
zamiast prawej — stanowią tak ogromną mniejszość,  
zaledwie 2 na 100? Czy można to przypisać wyłą-  
cznie nawyknienu i dziedziczności? Nie wyjaśniono  
tego dotąd. Jeden z uczonych, który badał tę kwe-  
stję, dr. Lueddeckens z Lipska przypisuje przewagę  
prawej lub lewej ręki silniejszemu napływowi krwi  
do jednej lub drugiej półkuli mózgu, która u znacznej  
większości ludzi — jak twierdzi — zasilana jest sil-  
niej krwią w lewej połowie, kierującej ruchami pra-  
wej połowy ciała. Lewa półkula ma zwykle większą  
wagę od prawej w drugim jej zwoju od przodu, mie-  
ści się siedlisko mowy, i dla tego w razie wylewu  
krwi w lewej stronie mózgu, język traci władzę.  
I skutkiem tej przewagi lewej półkuli — zdaniem dr.  
Lueddeckensa — prawa połowa ciała obdarzona jest  
większą żywotnością, wrażliwością i pobudliwością  
niż lewa.

Teorya ta bezwątpienia zajmująca, ale oparta  
tylko na przypuszczeniach, bo niepodobna sprawdzić  
i udowodnić, czy rzeczywiście krew silniej napływa  
do tej lub do drugiej półkuli mózgu. Jedno tylko  
co nie podlega wątpliwości, to olbrzymia większość  
ludzi posługujących się prawą ręką. Z tego też wy-  
nika, że w tej większości równomierność obu półów  
ciała jest tylko pozorną, bo narządy nieużywane ule-  
gają zmianom.

Na 200 młodych ludzi poddanych w 1900 roku  
ściśłym pomiarom, sprawdzono tę nierównomierność.  
Prawa ręka bywa przeciętnie grubsza od lewej o 5  
centymetrów: w zamian za to dolna kończyna w oko-  
licy łydki, grubsza jest od prawej także o 5 cent.  
W ten sposób natura równoważy braki wywołane  
nierównym posługiwaniem się członkami.

Przedramię prawe — (nie licząc ręki) dłuższe  
jest od lewego o 1 cent, a dolna kończyna lewa (bez  
stopy) dłuższa od prawej tak samo o 1 cent. Uszy  
także różnią się o 1/2 cent. Przewaga w tym razie  
bywa na korzyść lewego ucha.



U leworęcznych zachodzą także różnice, ale odwrotnie.

To samo istnieje we wszystkich innych narządach. Większość ludzi widzi obu oczami, ale *patrzy* tylko *prawem* okiem — *słucha* tylko *prawem* uchem, „leworęczny” idąc, zbacza ku prawej stronie — większość ludzi ku lewej.

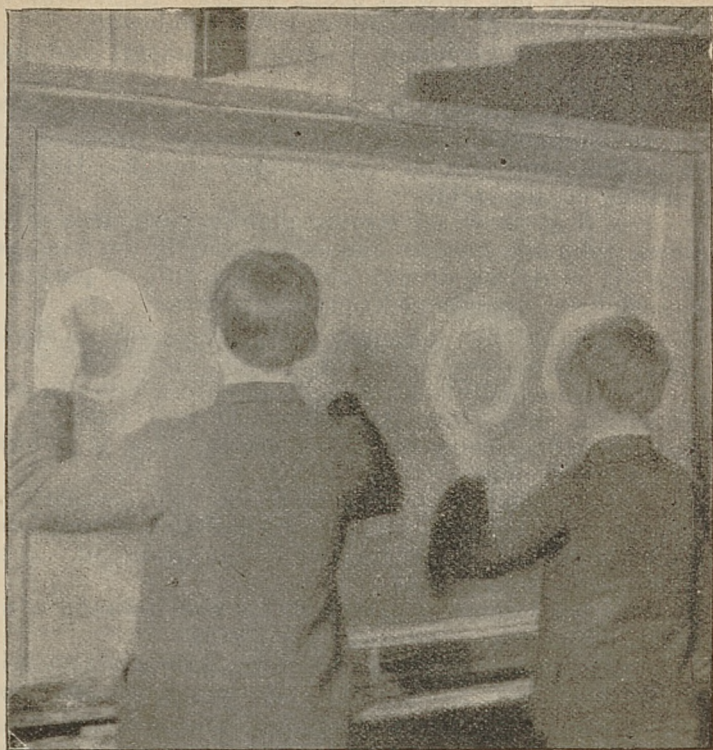
Nie ulega zatem wątpliwości, że ta ogromna większość 98 na 100 — ma skłonność wrodzoną do posługiwania się prawą ręką, czy z powodów fizjologicznych, czy skutkiem dziedziczności umocnionej wychowaniem i zwyczajem. U małych dzieci można już rozpoznać skłonność do posługiwania się prawą lub lewą ręką po tem, którą z nich wyciąga dziecko dla uchwycenia pokazywanego przedmiotu. „Leworęczni” mają trudność przy nauce pisania i zdławiają skłonność do pisania lewą ręką na odwrót — to jest tak, jak się pisze dla żartu, chcąc pismo odczytać w zwierciadle. Wielu z nich może pisać dwiema rękami dany tekst — prawa zwyczajnie — lewa na odwrót. Sztuka, którejby nikt z nas nie potrafił.

System wdrażania dzieci do posługiwania się obu rękami, mógłby przynieść duże korzyści, i w Ameryce od pewnego czasu zaprowadzono go w szkołach, a teraz zaczęto tego samego próbować i w Niemczech. Jednym z najprostszych ćwiczeń używanych w tym celu, jest rysowanie kredą na tablicy obu rękami jednocześnie kół jednakowej wielkości, jak to widzimy na załączonym rysunku.

W wielu rzemiosłach mających łączność ze sztuką np. w litografii, miedziorytnictwie, grawerstwie i t. p. bardzo pożyteczną jest umiejętność posługiwania się lewą ręką na równi z prawą. Ale najważniejszą jest w rysunkach rękodzielniczych, przy rysowaniu ornamentów. Zamiast rysować połowę ręką prawą a potem przerysowywać mozolnie drugą połowę, o ileż łatwiej byłoby kreślić rysunek obu rękami jednocześnie. Jaka oszczędność czasu i o ile większa dokładność.



Rysowanie deseni symetrycznego.



Wprawianie się w rysowanie obydwoma rękami.

Zmiana w tym kierunku zapewne prędzej czy później nastąpi w systemie nauczania. Ale dziś już od was samych zależy wyrównanie braków, które odwieczny zwyczaj wywołał. Uczyć zręczności skrzywdzoną lewą ręką — ćwiczyć ją na równi z prawą, wyrabiać w niej siłę i sprawność — może każdy w wolnych chwilach i z dobrej woli. Opanowanie wrodzonej niezgrabności, przysporzenie sobie drugiego narzędzia pracy, wychowanie zaniedbanego „kopciuszka” opłaci się niezawodnie każdemu. I dla tego polecamy waszej uwadze drogę wskazaną nam przez praktyczną Amerykę. Nie bądźmyż zawsze i wszędzie ostatni.

B. B.



(Dalszy ciąg).

**A**ch. taka karta oznacza, że ktoś w tym domu choruje; przebieg choroby notują codziennie i wywieszają wiadomość na drzwiach, aby uniknąć męczących odwiedzin, oraz aby każdy życzliwy mógł się dowiedzieć o stanie zdrowia chorego. Mojem zdaniem, jest to pomysł bardzo szczęśliwy i nic tu nie ma dziwnego. Chodźmy prędzej, bo nigdy z Haarlemu nie wyjdziemy.

Ale Ben ani myślał o pośpiechu, ciągle go coś zatrzymywało.



— Jak oni dziwne noszą ubiory. Kapelusze niby głowy cukru! Chciałbym ich wymalować.

— To są wieśniacy z okolicy — odparł Lambert wzruszając ramionami.

— Nie gniewaj się, mój drogi — prosił Ben. Ty le tu ciekawych rzeczy — nie mogę przecież iść z zamkniętymi oczami. Ale i tamci stanęli. Hej! kapitanie, co się stało?

— Jest tu w tej stronie piękny park, lecz w tej porze roku nie bardzo ciekawy. Radziłbym więc puścić się w dalszą drogę, chociaż istotnie w parku są prześliczne drzewa pod ochroną prawa.

— A któżby niszczył piękne drzewo? — spytał Ben.

— Chociażby ten, który marznie z powodu braku opału. Czy was Anglików nie boli myśl, że są ludzie, którzy mrą z głodu i zimna, choć w pobliżu jest jado i opał?

— Chcielibyśmy wszelkiej biedzie zaradzić — odparł Ben. Wiem, że w Holandyi jest mniej ubogich ludzi, niż w jakimkolwiek innym kraju. Z tego możecie być dumni.

— Nareszcie znalazłeś u nas coś dobrego a nie tylko dziwnego — odezwał się Karol.

Ale Piotr przerwał rozmowę, która przy udziale Karola łatwo zamieniłaby się mogła w sprzeczkę.

— Może chciałbyś zwiedzić muzea historii naturalnej. Moglibyśmy wrócić do kanału. Zobaczysz rzecz ciekawą, Schody Błękitne.

— Co takiego? Co on mówi, Lambercie? — pytał Ben.

— Błękitnemi Schodami nazywa się najwyższy punkt na diunach. Stamtąd roztacza się piękny widok na ocean.

— Trzeba widzieć nasze diuny, aby uwierzyć, że wiatr może tyle piasku nagromadzić. Ale w takim razie musielibyśmy dotrzeć do Blomendaal, a to daleko.

— O! zastosuję się do większości — zapewnił Ben — chociaż wolałbym osobiście sterować ku Lejdzie; to od woli kapitana zależy, nieprawdaż, Jakóbie?

— Zapewne — odparł Poot, który wolałby się zdrzemnąć, aniżeli podziwiać Błękitne Schody.

Kapitan głosował za Lejdą.

W chwilę potem opuścili Haarlem i podziwiali mnóstwo wiatraków, któremi pokryta jest Holandya.

— Benie — mówił Lambert — jeżeli chcesz poznać wszystkie piękności Haarlemu, przyjedź tu w lecie. Nigdzie nie zobaczysz piękniejszych kwiatów i lasów. Nasze holenderskie jawory warto obejrzeć. Równie piękne są tylko: wasz dąb i dąb z Fontainebleau.

Lecz w tej chwili Ben nie zważał na okolicę. Myśl jego pobiegła do domu rodzinnego w Londynie; myślał o swym braciszku Robby i siostrzyczce Jenny.

— Przywiozę ich do Holandyi — myślał — ale nie w zimie tylko w lecie. Będą miały dzieci uciechę. Po powrocie do domu zaczęę składać dla nich pieniądze w skarbonce i kupię im wszystko to, czego zapragną: dwufokciowe parowce, młyny wielkie jak sam Robby i wiele rzeczy...

## IX.

Przyjaciele w potrzebie.

Przez ten czas inni chłopcy słuchali opowiadania Piotra.

Przed wielu laty stał pod miastem Haarlem wielki zamek; pan zamku był tak dumny i tak nieludzko obchodził się z mieszczanami, że ci obiegli go w zamku i zmusili do poddania się. Żona jego,

w chwili w której właśnie miał zdać się na łaskę i nie łaskę oblegających, wyszła na krążganek i za pytała, czy pozwolą jej wyjść swobodnie z zamku i zabrać z sobą tylko to, co na plecach udźwignąć zdoła.

Ponieważ mieszczanie szanowali panią zamku jako kobietę dobrą i łagodną, chętnie odpowiedział, że uczynią zadość jej życzeniu.

I cóż zobaczyli ku swemu wielkiemu zdumieniu? Pani zamku niosła na plecach własnego męża. To ich wzruszyło. Wierni przyrzeczeniu, puścili wolno bohaterską kobietę wraz z jej ciężarem; zdjęła go z siebie dopiero poza miastem, które na szczęście nie było rozległe.

— Piotrze, i ty wierzysz w tę całą historję? — zapytał Karol.

— Wierzę; czy miałbym wątpić o jej wiarygodności dlatego, że zaszczyt przynosi Holenderkom?

— Nie — odparł wahającym tonem Karol — nie dlatego; tylko czyż kobieta zdoła unieść męża czyżnę?

Jakób Poot, dość sentymentalny z natury, słuchał z wielkiem zajęciem opowiadania Piotra.

— Ja nie wątpię! — wyrzekł gorąco. — Co do mnie, ożeniłbym się tylko z taką kobietą, która gotowa byłaby ową panią naśladować.

— O niebiosa! — zawołał Karol. Zlituj się Poot, przecież ciebie zaledwie uniosłoby trzech ludzi.

— Być może — odparł spokojnie tłuscioc. — Istotnie za wiele żądałbym od przyszłej pani Poot. Jednakże pragnąłbym, aby miała przynajmniej chęć tak postąpić.

— Ta któraby tylko spróbowała cię unieść, już zasługiwałaby na nagrodę — zaśmiał się kapitan. — A zresztą przysłowie mówi: „dla silnego serca każdy ciężar lekki”.

— Piotrze — spytał Ludwik, zmieniając temat rozmowy — wszak malarz Ruysdael urodził się w Haarlemie?

— Tak, i Wouwermans także i Berghen...

Na chwilę ucichły rozmowy, chłopcy sunęli szybko przed siebie. Ben oczami duszy patrzył na dom rodzinny. Jeżeli za nim podążymy, ujrzymy jego braciszka Robby i siostrzyczkę Jenny siedzących przy stole, w pokoju szkolnym wraz z nauczycielem.

— Panie Robby — mówi z uśmiechem nauczyciel — proszę przeczytać dwie stronicę i zważać nie tylko na punkty, ale i na przecinki. Przytem trzeba tak czytać, aby słuchający wiedział, że czytający rozumie to, co czyta. Więc — zaczynamy,

Robby świeżym dziecięcym głosem zaczął czytać co następuje.

### *Lekcja 62. Mały bohater z Haarlemu.*

„Dawno już temu żył w Haarlemie mały chłopczyk ze złotymi włosami, tak miły i dobry, że kochali go wszyscy. Ojciec jego zajmował się pilnowaniem szluz umieszczonych w równych odstępach przy kanale, aby z nich wypuszczać lub wpuszczać wodę stosownie do potrzeby. W Holandyi nawet małe dzieci wiedzą, że tylko ciągła bacność i uwaga na wysokość wody w kanałach może uchronić ich ojczyznę od zalewu, że jedna chwila niedbałości, a ocean wtargnąć może do kraju: to też strażnik szluzowy ma wielką odpowiedzialność, od niego zależy pomyślność i życie mieszkańców.”

— Bardzo dobrze, Robby — rzekł nauczyciel — dalszy ciąg niech czyta Jenny.

„Chłopczyk miał lat ośm — czytała dziewczynka. — Pewnego pięknego dnia, w jesieni, rodzice pozwolili mu zanieść trochę owoców biednemu niewi-



memu, który o parę wiorst od nich mieszkał. Dziecko wesoło wybiegło z domu. Z godzinę zabawiło swego przyjaciela, a potem pożegnało go i wracało do domu.

Idąc wzdłuż kanału, chłopczyk widział jak deszcze jesienne podniosły poziom wody. Ale dobrze udowane szluzy, pilnowane przez jego ojca, uspokajały jego obawy co do możliwego wylewu.

— Jednakże — myślał sobie, nucił jakąś piosnkę — co by to się stało z temi łąkami, z polami, z ojcem i z matką, gdyby woda wszystko zalała?

Aż zadrżał cały, bo wiedział, jak złe bywają zebrane wody.

— Tak, ale tatuś jest od wód silniejszy i to je to nie pozwala.

Tak myślał, śpiewając i zrywając od czasu do czasu błękitne kwiatki, rosnące nad brzegiem kanału. Czasem przystawał, bo słyszał jakiś szmer, może ptak zepotał skrzydłami, może królik chrupał jakie liście. Nagle przestraszył wybił się na jego twarzyczce.

Rzucił dookoła przerażonym wzrokiem. Bawiąc się po drodze, nie zauważył, że noc już nadchodzi. Tu do domu jeszcze było daleko i nikogo nie widział w pobliżu. Zaczął biedzić ile sił w nogach! Ale znów jakiś szum do niego dobiegł, jak gdyby spływającej wody. Przystanął, otworzył szeroko oczy, potem pobiegł w stronę tamy, skąd odgłos pochodził. Tu dojrzał niewielki okrągły otwór w grubej desce, przez który sączyła się woda. Widocznie fala wychnęła sięk z deski. Każde dziecko w Holandyi wrażliwie ogarnia, kiedy widzi szparę w tamie. Syn kłuzownika natychmiast zrozumiał całe niebezpieczeństwo. Ta pozornie nieznaczna ilość wpływającej wody mogła sprawić wielkie szkody.

Już wiedział, co ma zrobić. Rzucił zebrane kwiatki, wdrapał się na tamę, usiadł na szluzie jak na koło i nachylając się, trafił dłonią na otwór. Ta zapora wystarczyłaby wstrzymać wodę.

— Aha! — zawołał z tryumfującym śmiechem — tylko ojciec ale i ja wodę zatrzymać potrafię. Musi ona sobie zostać po tamtej stronie i Haarlemu nie dosięgnie.

Z początku trzymał się dzielnie, ale noc zapalała a z nią mgły przejmujące chłodem.

Nasz mały bohater drzeć zaczął z zimna i trwonił. Zaczął głośno wołać: „ratunku! ludzie przybijcie! ratunku!” Ale nikt go nie słyszał i nikt nie przybył. A tu było coraz zimniej i dłoń do otworu przytknięta drętwiała. Ból go jakiś przejmował. Wołał znowu: „czyż nikt nie przyjdzie! Mamo! ojczule! ratunku!”

(d. c. n.)

## Złote myśli.

*Nieznany wiersz Jachowicza.*

Mile, rzewne, pełne podniosłych myśli wierszyki Jachowicza znane są dobrze, zapewne, naszym czytelnikom i czytelniczkom.

Dziś, korzystając ze sposobności, podajemy nigdzie nie drukowany jeszcze czterowiersz tegoż autora, wpisany 24 go września 1844 roku w pamiętniku swej uczennicy pani Kazimierzy z Glinków-Janczewskich Chełmińskiej, która nam obecnie życzyła swego pamiętnika skąd wiersz ten przepisujemy:

Sunie łódź życia po czasie głębinie,  
A na tej łodzi dobre czyny płyną;  
Unikną wirów i skały ominą,  
I wylądują w szczęśliwej krainie...

## W Ciechocinku.



*Profesor.* Patrz Stasiu, tu przed wiekami toczyły się słone fale oceanu i pływały ryby morskie.

*Stas.* To pewnie dlatego, panie profesorze, znalazłem tu wczoraj pudełko od sardynki.

## Łamigłówek do nagrody.

### ZADANIE ARYTMETYCZNE.

uł. Aes.

Krażownik japoński, znajdujący się w odległości 7 miu kilometrów od portu Artura, na 35 sekund przed wystrzałem armatnim z twierdzy portowej zaczął oddalać się na pełne morze z szybkością 10 metrów na sekundę. Wiele sekund po wystrzale krążownik ten został ugodzony pociskiem, jeżeli kula armatnia leci z szybkością 50 razy większą od prędkości krążownika?

### REBUS.

uł. Viola Tricoloris.

oki.

Niech zgaduje kto żyje  
Nazwisko to czyje?

Rozwiązania tych łamigłówek przysyłać należy obowiązkowo na pocztówkach.

Jako nagrody za rozwiązanie obydwóch zadań przeznaczony są książki oraz rozdzielone będą między nagrodzonych nadesłane pocztówki.

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 13-go.

**Szarady.** Fa — ra — on.

**Nowego rebusu:**

Nie gość długo w jednym domu  
Nie naprzykrzysz się nikomu.

## Odpowiedzi Redakcyi.

**M. Naramowskiemu.** Z atlasów botanicznych w języku polskim możemy wskazać następujące: „*Historia naturalna w obrazach*. Botanika i mineralogia w 269 kolorowanych obrazkach, z tekstem Fel. Wermińskiego.



Wilkonim Maurycy dr. *Atlas państwa roślinnego*. 124 tablic kolorowych z 600 rysunkami i 160 stron tekstu; opracowanie polskie Wł. M. Kozłowskiego.

**Białej Prymulce.** Powieść „Sewerka” jeszcze nie była drukowana w „Wieczorach”.

### Odpowiedzi działu zadaniowego.

Trafne rozwiązania zadań z ostatnich numerów przysłał następujący czytelnicy i czytelniczki: Genia Kleiberówna z Semibratska, Biała Prymulka, Lilijka, Krzysia z Mikołajówki, Kropelka Rosy, Jasio z nad Prosną, Stefan R., Pierwiosnek z Galicji, Mania Lifszyc, Hania z Krakowa, Mazur z nad Wisły, Ludgarda D., Zielona małpka, Złota Gwiazdka, Danuśka, Konwalia i Wiśnia,

Zadania i łamigłówki nadesłane przez Halszkę Dadzi-bożkę, Niebieską Perełkę, Dyabła, Jadwiśkę, Czarnobrewę Ukr, Białą Prymulkę, Muszkę z nad Rosi i M. C. Kowalkiewiczza zostały zaliczone do druku.

**Lilijce.** Określić ściśle numer „Wieczorów”, w którym będzie drukowana twoja łamigłówka nie możemy, gdyż pierwsi muszą pójść zadania dawniej nadesłane, a jest ich bardzo dużo.

**Do wszystkich.** Niektórzy z czytelników przepisują zadania i łamigłówki dawniej drukowane w różnych pismach i podają je za swoje. Zwracamy więc uwagę, że podawanie cudzej pracy za swoją własną jest rzeczą niedozwoloną. Mamy nadzieję, że czytelnicy nasi dowiedziawszy się, iż takie postępowanie jest niewłaściwe, w przyszłości czynić tego nie będą.

### OFIARY:

**Dla biednych dzieci na święta.** Stokrotka z gub. Pod. rub. 2. — Różyczka rb. 2. — Zosia rb. 2. — Lalo rb. 2. — Staś rub. 2. — Jędzia Ambrożewicz rub. 5.

**Na wpis dla ubogiego ucznia.** Biała Kulka i Mania F. rub. 1 kop. 50. — Polski Bławatek i Świętojański robaczek rub. 1 kop. 20.

**Na Kolonie Letnie:** Renia T. rub. 3, Marylka i Halka Dadzi-bożki kop. 50.

**Na powodzian:** Anula Z. kop. 50. — Czarnobrewa rub. 1. J. Mularska rub. 4. — Złota Gwiazdka rub. 2.

## Od Redakcyi.

*Książki po cenach niższych*

Dla prenumeratorów „Wieczorów Rodzinnych,” najsłynniejsza powieść hist. Waltera Scotta.

### I WANHOE.

4 tomy w jednym za 30 kop. (z przes. poczt. 50 kop.).

## ATLANTA

CZYLI PRZYGODY CHŁOPCA NA WYSPIE TAJEMNICZEJ przez Zofię Urbanowską.

Wielki tom z licznymi ilustracjami Maszyńskiego w pięknym oprawie rub. 2 zamiast 3, z przes. 2 rb. 50 kop.

**Tania biblioteczka podróży i powieści.** Tom — 10 (z przesyłką pocztową 15 kop.).

**POWIEŚCI HISTORYCZNE:** 1) *Hrabina* (z czasów Mickiewicza); 2) *Pojednanie* (z czasów Napoleona I); 3) *Dworzanin Królewicza Jakóba* (z czasów Sobieskiego); 4) *Dziedzictwo Karola Wielkiego*.

**POWIEŚCI OBYCZAJOWE:** 5) *Poza gniazdem PODRÓŻE:* 6) *W krainie tygrysów* przez *Piel*.

**RÓŻNE:** 7) *Jak się oryentować na niebie* przez *P. Trzcickiego*; 8) *Baśnie z krainy Armor* (z ilustr.

**Premia dodatkowe.** Dla ułatwienia naszym prenumeratorom taniego nabycia książek, postaraliśmy się o możliwość dostarczenia zajmujących powieści i dzieł cennych po cenie o połowę niemal niższej.

### POWAŻNE:

1. *Brehm. Królestwo zwierząt* przekł. St. Rewieńskiego (tom ilustr. o 970 str.) zamiast rb.—5 rb. 2 k. 80.
2. *Klementyna z Tańskich Hofmanowa. Wszystkie pisma po redakcyą Żmichowskiej* wydane (6 tomów) zamiast rb. rub. 2.
3. *Zygmunt Głogier. Słownik rzeczy starożytnych polskich* zam. rb. 1 — 50 — kop. 50.
4. *M. B. Rady matki dla syna* zamiast kop. 25 — 20.
5. *Swiderska. Opowiadania historyczne* zam. 1.50 — r.

### POWIEŚCI:

6. *Przyborski W. Myszy króla Popiela* (opr. z ilustr.) zamiast r. 1 — k. 65.
7. *Z Bukowiecka. Rok życia* (kartonowane) zam. 1 — 60 kop.

### PODRÓŻE:

8. *A. Dygasiński. Robinson polski* (kartonowane) zamiast rub. 1 — kop. 60.
9. *J. Verne. Dzieci kapitana Granta* (3 tomy w jednym) zam. 1b. 1. — 40 kop.
10. *J. Verne. 20,000 mil pod wodą* zam. r. 1.50 — rb. 1.
11. *Podróż do środka ziemi* zam. r. 1 — 70 k.
12. *„ Slinks lodowy* . . . . . 1 — 80 „
13. *M. Brzeziński. Moje wakacje na wsi* zam. k. 75 — 40
14. *Kazimierz Król. Przygody misjonarza w Sudanie egipskim* zam. r. 1.20 — 65 k.

### DLA DZIECI DO LAT 10-ci:

15. *Robinson dla młodszej dlatwy* (opr. z ilustr.) zam. kop. 50 — 30 k.
16. *Wł. Bała. Baśń o dobrym synu* zam. 50 — kop. 30 k.
17. *Esmeralda. Rozmowy z Mamusią* (kart., ilustr.) zam. 40 — 30

**NB.** Pragnących otrzymać te książki pocztą, prosimy o przysłanie nadto na koszt przesyłki za książkę № 1 — 50 k. za № 2 — 1 rb.; za № 3 i № 5 — 28 kop.; za № 4 — 4 kop.; za № 15, 16 i 17 — 14 kop.; za wszystkie inne po 21 kop.

### PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE: rocznie z odnośnieniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna — miesięcznie w Warszawie kop. 35.

Cena ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy lub jego miejsce — 12 kop.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

**TREŚĆ:** Sadzenie drzew, przez A. L. S. — Psie pole, powieść Włodzimierza Trampeczyńskiego. — Pod mikroskopem (z ryc.) — (z ryc.) — W obronie pokrzywdzonej (z ryc.) — Srebrne łyżwy, przekład A. M. — Złote myśli — Żarcik. — Łamigłówki i rozwiązania. — Odpowiedzi redakcyi. — **Dodatek:** Mała opiekunka, wiersz przez Janinę Chlewicką (z ryc.) — Moje opowiadania, przez Zofię Bukowiecką. — Dary, przekł. M. G. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów.

**Bezpłatny dodatek książkowy:** Obowiązek, powieść dla młodzieży przez Julię Piasecką.

Redaktorka Ludwika Hauke. Доволено Цензурою. Варшава 27 Марта 1904 г. Wydawczyni Marya z Chomętowskich Balińska.

W drukarni Noskowskiego, Warecka 15.



## Mała opiekunka.

— Mój Ludeczku, ciszej, ciszej!  
 — Z drogi Zosiu! Jedzie kolej!  
 — Cicho! Mama cię usłyszy,  
 Główka więcej ją rozboli.  
     Chorą mamę hałas trwoży,  
     A ty biegasz coraz żwawiej;  
     Znowu mamie będzie gorzej...  
     Zosia z tobą się pobawi.  
 Chodź do okna, prędzej, Ludku!  
 Patrz: gdzie dachu sterczy belka  
 Siedzi wróbel; pocichutku  
 Rzućmy chleba dla wróbelka.  
     Czemu skradasz się nieśmiało?  
     Przecież ja cię nie przestraszę!  
     Czemu kręcisz główką małą,  
     Moje śliczne, biedne ptaszę?  
 — Dziobnął trochę, i ucieka...  
 Zosiu, czy już nie przyleci?  
 Czy on boi się człowieka?  
 — On kruszynkę wziął dla dzieci.  
     Na nasz obiad doskonały  
     Inne ptaszki też zaprosi,  
     Widzisz? Cztery przyleciały  
     Do Ludeczka i do Zosi!  
 — Ptaszki, jedźcież wy na zdrowie,  
 A Ludkowi Zosia miła  
 Historyjkę może powie,  
 Co jej wczoraj nie skończyła  
     Na rycerza panów rada  
     Pasowała królewicza, —  
     Tak siostrzyczka opowiada,  
     A braciszek się zachwyca.  
 Siedzi cichy, zasluchany...  
 Nie daremna Zosi praca,  
 Bo mamusi ukochanej  
 Odpoczynek siły wraca.

Janina Chlewicka.



Zofia Bukowiecka.

## MOJE OPOWIADANIA.

(Dalszy ciąg).

Wyprawiał się jeszcze Bolesław do Pragi, żeby bronić Czechy słowiańskie od Niemców, ale nie będę wam opowiadała o tej wojnie, która się także szczęśliwie skończyła, wolę spojrzeć razem z wami na dziedzictwo Piastowe ciesząc się, że było ono wielkie, potężne, a miłością w jedną całość spoione.

Jako mularz cegłę do cegły przykładą, kiedy chce piękny zbudować gmach, wszystkie zaś te cegły jednakowo sobie waży, tak wielki mularz, Bolesław, budował państwo z różnych ludów, żadnego jeden nad drugi nie wywyższając, a zaś wszystkie ucząc braterstwa i wszystkie sądząc sprawiedliwie.

Silnem ramieniem sięgał od morza Bałtyckiego aż po góry Karpaty, od Łaby aż po Dniepr, lecz zarówno drogiemu mu byli rodowi jego Wielkopolanie, jak Krakowianie, Ślązacy, Pomorzanie, Morawianie czy Łużyczanie, lub Prusacy, wszyscy oni byli Słowianami, wszystkim czuł się ojcem, a ojcu każde dziecko miłe, tak miłe najstarsze, które pierwsze



przy boku jego stanęło, jak i te ostatnie, które najpóźniej do rodziny weszło.

Miłościwie też a mądrze rządził swoim krajem Bolesław. Pamiętał, że nie przystoi mu srogość, bo ludy jego urosły ze zgodnego połączenia się rodów, nie z podbojów, a nad rodami głowy rodu łagodną sprawowały władzę, takie było z dziada, pradziada u Polan zarządzenie, więc też choć z sąsiadami umiał monarszą zachować dostojność, w domu między swemi miłości nie strachu żądał i miłość wielką we wszystkich rodach posiadał.

Chciał mieszkać w środku ziem swoich, żeby łatwiej sięgać do krańców rozległego dziedzictwa i dlatego przeniósł stolicę z Poznania do Krakowa, postanowił jednak, aby w Gnieźnie on i jego następcy koronacye odbywali na wieczną pamiątkę, że tu Lech pierwsze gniazdo Polan założył.

Jako gospodarz znający się na ludziach, dobry wybór między włodarzami swemi czyni, tak Bolesław umiał dobierać sobie pracowników i zastępców z pomiędzy swoich rycerzy. Budował dla nich graniczne grody, czyli kastele i strzedz ich przykazywał od sąsiednich rabusiów. Mówił, że równą jest hańbą dać sobie porwać polskie kurczę, jak cały zamek. Baczyl, aby nieprzyjaciół nie szarpał mu kraju, więcej jednak jeszcze zabiegał, aby kraj ten zakwitł ładem i cnotą. Dlatego, choć biskupi pomagali mu dzielnie w pracy nad ludem, choć dotrzymał słowa i wiary chrześcijańską zaniósł daleko na północ, nie poprzestał na tem i zbudował dla Benedyktynów klasztor na Łysej Górze, w Wielkopolsce i w Tyńcu pod Krakowem.

Echo dzwonów kościelnych niesło się szeroko i daleko po kraju, w którym niedawno jeszcze pogański panował obyczaj, szeroko i daleko sławiono Bolesława, a on świadom swego dostojęstwa słał jak równy równemu posły swoje do niemieckiego i do greckiego cesarza. Słał i do Rzymu po koronę, którą mu urocząście, w obec zebranego ludu i wojska włożył na głowę arcybiskup w tym samym Gnieźnie, gdzie przed laty cesarz Otto przy grobie świętego Wojciecha własną swą złotą opaską uwieńczył jego czoło. Działo się to roku 1024, a potem nadszedł kwiecień 1025.

Nie nie brakowało do sławy pierwszego ukoronowanego króla Polan. Zakwitły kwiatami lasy i łąki wielkiego państwa, radował się lud wiosną i dostojęstwem monarchy, ale właśnie w chwili, kiedy cała ziemia stroiła się kwietniową zielonością, przysła śmierć i zabrała Bolesława. Naród ojcem go nazywał i jak po ojcu, płakali też Polanie po Chrobrym. Zamilkły muzyki w gospodach, nikt szat jasnych nie nosił i słusznie, bo jakże nie boleć, jak nie okrywać się kirem, kiedy umarł największy z Piastów.

Umarł Bolesław, mąż Chrobry, ludów swoich pan dobry! — siedł jęk od fal morza Bałtyckiego aż po Łomnicę, jęczały dzwony kościołów po ziemiach

do wiary nawróconych, jęczały serca oswobodzonych z nad Łaby Słowian, bo umarł ojciec, po którym dużo płakało dzieci.

(d. c. n.)



**D A R Y.**

przełożyła z angielskiego

**M. G.**

(Dalszy ciąg).

**N**o i cóż? — zapytał komisarz.

— Nie wiem, co oni zrobili... ci kuglarze! Szli przede mną całą drogę i nie spuszczałem ich z oka ani na chwilę.

— Istotnie, to bardzo dziwne — powiedział marszcząc brwi komisarz.

— Jeśli macie już dosyć prześladowania niewinnych dzieci — odezwała się Marta — najem póz i odwioz ich do domu, do papy. Ale nie skończy się na tem, mój panie! — dodała, zwracając się do policyanta. Mówiłam wam, że nie mają złota, któreście niby widzieli w ich biednych, brudnych rączkach. Bardzo to źle jeżeli policyant w dzień nie może ufać swoim oczom! A tamten drugi, to podobno z pod *Głowy Suraccena*?

— Wyprowadź ich stąd, na miłość Boską! — zawołał z gniewem komisarz.

Ale po wyjściu dzieci zwrócił się do policyanta i pana Pesemarcha.

— I cóż teraz będzie? — zapytał jeszcze gniewniej, niż przedtem mówił do Marty.

Marta dotrzymała słowa. Odwiozła dzieci do domu wielkim powozem, bo wózek z gospody, którym przyjechała, odjechał już dawno, ale choć broniła ich tak mężnie w obec policyi, była tak bardzo rozgniewana na nich, kiedy zostali sami i tak ich łajała za to, że się *„włóczyli, jak dziady w Rochester”*, iż żadne nie śmiało wspomnieć o starym woźnicy z wózkiem i kucykiem, który na nich czekał przy moście. I tak po tym dniu nieprzebranych bogactw, dzieci poszły spać zmartwione, złajane, za całą pociechę mając dwie pary bawełnianych rękawiczek, zabrudzonych brudnymi rękami — portmonetkę z naśladowanej skóry krokodylej — i dwanaście pączków od dawna zjedzonych i strawionych.

Nazajutrz niepokoiła dzieci najwięcej obawa, czy gwinea dana staremu właścicielowi wózka z kucykiem nie znikła o zachodzie słońca, tak jak reszta złota, więc poszły do wsi wytłomaczyć się, dlaczego nie stawily się wczoraj w Rochester na umówionem miejscu. Ale zastały staruszką bardzo przyjaźnie usposobionego. Gwinea *nie znikła* — bo ją staruszek *zapracował*. Wywiercił w niej dziurkę i zawiesił przy łańcuszku do zegarka. Co zaś się tyczy gwinei, którą im zabrał piekarz, dzieci czuły, że niema się o cc



troszczyć, czy znikła, czy została — co było może niezupełnie uczciwe, ale zrozumiałe. Jednakże ciężyło to tak bardzo na drażliwym sumieniu Antei, że posłała pocztą w sekrecie dwanaście marek pocztowych do Rochester pod adresem „Pana Browna, piekarza w Rochester”. Na kartce przytem napisała:

„Zaplata za pączki”.

Mam prawie pewność, że gwinea znikła, bo piekarz nie był uczciwym człowiekiem i zdobył ją oszustwem.

### III.

#### Dar pożądaný przez wszystkich.

Nazajutrz rano po tym dniu pamiętnym, kiedy dzieci miały w swem posiadaniu nieprzebraną ilość pieniędzy, a nie mogły nabyć za nie nic pożytecznego i milego, z wyjątkiem dwóch par bawełnianych rękawiczek, dwunastu pączków, woreczka z fałszywej skóry krokodylej — obudziły się bez tego uczucia wielkiego rozradowania, jakie je ogarnęło poprzedniego ranka, po sprawdzeniu, że istotnie miały szczęście wykopać piaskoludka, czyli po grecku psameda, i otrzymać od niego obietnicę spełnienia wszystkich życzeń. Objawiły dotąd dwa życzenia: piękności i bogactwa — i oto żadne z nich nie dało im zadowolenia. A jednak nadzwyczajne zdarzenia, choćby niekoniecznie miłe, przyjemniejsze są niż takie czasy, w których nic się nie zdarza oprócz śniadań, obiadów i kolacyi, nie zawsze przyjemnych, szczególnie, gdy podają na stół tylko zimną baraninę lub siekane mięso.

Dzieci tym razem uznały, że pięćdziesiąt funtów sterlingów (około 500 r.) wystarczy na dziś; wybrały się więc śpiesznie do kopalni piasku, żeby przedstawić swoje życzenie piaskoludkowi. Ale Marta dogoniła je już w samej bramie i zażądała, żeby wzięły z sobą małego braciszka, tak zwane „dziecko”, lub „jagnię”. Naszym bohaterom nie bardzo to było na rękę.

— Co? nie macie ochoty, doprawdy? Każdyby miał na nie ochotę — na to Jagniątko i pragnąłby je mieć z całego serca! — wołała Marta. — A nie przyrzekliście to mamie zabierać je z sobą codziennie na spacer?

— Wiemy dobrze, że przyrzekliśmy — odezwał się posepnie Robert — ale wolałbym, żeby Jagniątko nie było takie małe i niemądre. Wtedy byłoby zabawniej brać je na spacer...

— Wyrośnie z czasem — odpowiedziała Marta. — A że małe, to jeszcze lepiej, bo łatwiej je nieść. Zresztą może iść kawałek pieszo na swoich tłustych nożynach, gołąbeczek kochany! On bardzo lubi być na świeżem powietrzu, pieszczoszek!

Powiedziawszy to i przypieczętowawszy całusem, Marta wetknęła Jagniątko w ręce Antei, a sama zawróciła do domu, żeby kończyć szycie.

Jagniątko roześmiało się z wielkiej uciechy i wyrzekło:

— Cię iść z Panteja!

Potem jechało „na baranie”, na plecach Roberta, z głośniami okrzykami radości — następnie częstowało Kicię kamykami, kładąc je do ust siostrzyczki, i było tak przyjemne, że dzieci przestały się krzywić na jego towarzystwo.

Dzieci ułożyły, że jak tylko zażądadają pieniędzy i otrzymają je, pójdą do pana Crispina po wózek i pojadą do Rochesteru, zabierając z sobą Jagnię, jeżeli nie będą mogły pozbyć się go przedtem. A przed wyjazdem spiszą sobie wszystko, co potrzebują kupić. Pełne nadziei i rozsądnych postanowień, szły szeroką, bezpieczną drogą, którą jeżdżą wozy do kopalni, a gdy tak szły pośród zwałów piasku i żwiru, nagle przyszła im myśl, która pokryła taką bladocią ich opalone twarze, jakby to były dzieci z obrazka, a nie żywe dzieci. Ale że były żywe, stanęły jak wryte, spoglądając na siebie z niepewnością i obawą. Bo przypomniały sobie teraz, że wczoraj, gdy prosiły piaskoludka o nieprzebrane bogactwo, a on na ich prośbę zaczął zasypywać kopalniane doły błyszczącymi gwineami — milionami gwinei — zawołał, żeby dzieci usunęły się z tych dołów, bo mogą być żywcem pogrzebane wśród złota. Odbiegły na rozkaz. Ale tak się śpieszyły, że zapomniały naznaczyć rzędem kamieni — jak zwykle robiły — miejsca gdzie psamed się zakopał. To właśnie wspomnienie wywołało teraz niepokój na ich twarze.

(d. c. n.)

#### Homoni m.

podała Miri.

Sześć różnych głosek składa mię całą,  
A kogo zdobie, otaczam chwałą,  
Lecz, że wielkości mało na świecie  
Znajdziesz mnie częściej w rośliny kwiecie,  
Choć się tam składam z cząsteczek drobnych,  
Wielu nadaje imię nadobnych.

#### ARYTMOGRYF W TRÓJKĄCIE.

uł. M. C. Kowalkiewicz.

1 2 3 1 4 5      Zamiast liczb należy postawić od-  
2 3 1 4 5      powiednie litery w ten sposób, aby  
3 2 1 3      górny szereg poziomy i boczny pionowy,  
1 2 3      utworzyły nazwę znanego miasta.  
4 5      Znaczenie wyrazów: 1) Znane miasto. 2) Mi-  
5      steczko w gub. Radomskiej. 3) Statek znany ze  
Starego Testamentu. 4) Łód płynący po rzece. 5)  
Zaimek wskazujący. 6) Spółgłoska.

Zuważyć jeszcze należy, że w skład wszystkich wyrazów wchodzi te same litery, co i w nazwę znanego miasta, które odgadnąć mamy.

#### ROZWIĄZANIA DO N-ru 13-go.

Zagadki literowej: Litera D.

Szarady: Las — ka.



## Skrzynka do listów.

**Kostyczowi.** Za życzenie wesołego Alleluja dziękuję, ale wiersza o biednym chrabąszczu,

„Co zachrobotał u lelaka w dziobie,  
Gdy ten poleciał, żeby go połknąć na kłodzie”  
wydrukować nie możemy.

**A. N.** Nadesłane poezye będą drukowane. Prosimy danego naszego czytelnika o adres i inne utwory.

Mój stół do pisania zakwitł dziś jak majowa łąka od waszych barwnych kart z życzeniami świątecznymi. Dziękuję, stokrotnie dziękuję. Dziękuję *Gwiazdeczce, Marylce i Halszce Dadzihożkom, Przódce złotych nici, Miłośniczce piękna, Orłowi B., Wróbelkowi, Miechowicie, Ormiance z Bośni, Gosposi, Przyłazczce Puszczańskiej, Muszce z Krakowa, Małpeczce, Wielkiemu Łobuzowi, Nadobrzance, Polnej Różyczce, Turkawce, Dzikiej Gąsce. Niebieskiej Perełce, Dalii, Syrenie, Błotniarce stawowej*, dziękuję mojej kochanej gromadce *Podolaków* za życzenia i hojny dar na święcone dla ubogich, wy wiecie, że radość biedaków jest największą radością Jaskółki, która obleciałaby chętnie wszystkie sutereny, żeby w każdej zaświergotać wesołą nowinę Zmartwychwstania Pańskiego, w każdej zostawić ziarnko pożywienia dla głodnych słońca i chleba piskląt.

Trzy listy od nowych korespondentów przyniosła mi dzisiejsza skrzynka. **Heliotrop** pisze, że jest wielkim figlarzem; na to chętnie się zgadzam, ale czemu, Heliotropie, jesteś wielkim ciekawskim i chcesz zgadnąć moje imię? Nic z tego, wolę zwrócić się do **Morelki**, to także nowa znajoma; list Morelki zawiera ciekawe szczegóły o okolicy, którą zamieszkuje. Powiedz kochanemu **Bączkowi**, że jego bżyn! było bardzo miłe Jaskółce.

Nową jest i **Czarnobrewa**, której liścik tem więcej cenię, że mało ma na niego czasu, chorowała, a teraz zdaje egzamin. Żałuję cię za przymusową pokutę w pokoju, bo nawet ja, warszawska Jaskółka, widziałam już zieloną trawę, słyszałam skowronka i zbierałam żółte mleczce.

Spełniam twoje życzenie, **Wróżko**, któż poważiłby się obrazić tak potężną panią, ty zaś pamiętaj, że przywilejem wrózek jest dawać szczęście i cieszyć. Spłyn więc znów kiedy razem z **Tęczą** do mojej skrzynki na radość waszej Jaskółki.

I o powodzianach pamiętali kochani korespondenci moi! Pamiętała **Złota Gwiazdka**, bo ona zawsze skorą jest do szlachetnego czynu, chociaż znów chorowała, moja Gwiazdeczka kochana; pamiętał też i **I. Muł**, a jego dar ma wielką cenę, gdyż zdobył pieniądze rozsumną pracą, szkoda tylko, że za mało mi o tej pracy doniosłeś szczegółów, bardzo o nie proszę.

**Szara Koteczko**, wróżka, jak wszystkie wróżki, otacza się tajemnicą, nie mogę więc jej zdradzić nawet dla ciebie, chociaż bardzo miłą jesteś korespondentką.

Radziłabym ci, **Kiciu P.** zaprenumerować pismo „Mon journal”, jeśli chodzi o młodsze dzieci, albo „Magasin d'éducation et de récréation”, jeśli poważniejszego pragniesz dzienniczka. O twojej siostrzyczce Elżuni słyszałam dużo dobrze, więc was obie tulę skrzydełkami.

Dziękuję ci, **Jadwiśko** kochana, za życzenia, fotografii jednak redakcja użyć nie mogła, gdyż jest za blada do reprodukcji.

Dziękuję także **Rybce ze Szpatnicy** i **Marysiennie** za pamięć o świątecznych życzeniach i nawzajem z całego

serca życzę, aby niepokój wasz skończył się prędko, aby konkurs przyniosł wam upragnione nagrody.

Cieszę się, że chcesz być moją, **Marylko Dadzihożko**, gdyż list twój niezmiernie miły, zdradza szlachetną, myślącą istotę. Jaskółka chętnie odpowiedziami zaglądać będzie w głębi twego serduszką, bo ona chciwie szuka takich serc, żeby je swemu gronu przyswoić i wzbogacić niemi gromadkę naszą. Znajdzie się wiele panienek, które zechcą z tobą korespondować Marylko, a Halszce kochanej dziękuję, że odgadła, czem mi sprawi radość i bez tytułów, serdecznie napisała do Jaskółki.

Dziękuję ci, **Pierwiosku z Galicyi** za życzenia świąt, proszę, dotrzymaj obietnicy i napisz, jak je spędziłaś. Chętnie siadłabym na wielkim kamieniu, na którym siadać lubisz, żeby świergotać ci o Warszawie i o mojem życiu, ale świergotać mogę tylko na papierze.

Śpiesz się, **Wiochno**, przysyłaj jaknajprędzej próbę twego pisma na konkurs, bo redakcja wkrótce ogłosi nazwiska zwycięzców, a byłoby mi bardzo przykro, gdybyś ty z mojej winy nie miała stanąć w ich rzędzie.

Kochana **Stokrotka z gub. Podolskiej** sprawiła mi wielką radość listem. Powiedz Stokrotko Lalowi, że ja jestem dziwną odmianą ptaka, o którym dotąd nie pisali ornitologowie, to jest uczeni, zajmujący się badaniem obyczajów skrzydlatej rzeszy, ale o którym zaświadczyć kiedyś wy wszyscy korespondenci moi, że nie dla słów czecznych, lecz z głębi serca kochał on duchy wasze i pragnął ich udoskonalenia.

A jednak wątpicie o przywiązaniu Jaskółki, zwątpiła o niem naprzykład **Wajdelotka**, chociaż to dawna korespondentka, więc nie powinna posądzać mnie o zapomnienie. Ja wszystko pamiętam, Wajdelotko, pamiętam jak ucieszyłaś się myślą, że sukienkę uszytą przez ciebie na konkurs „Wieczorów” nosić będzie biedna sierotka, ta myśl dała ci więcej nawet radości, niż nagroda otrzymana za robotę. Widzisz, czyż nie tak było? Każde kielkowanie dobrego w waszych sercach, pisklęta moje, jest mi i drogie i pamiętne, każdym się cieszę, każde stanowi zachętę do dalszej pracy, więc nie piszcie próżnych frazesów o znudzeniu Jaskółki, tylko ufajcie waszej Jaskółce.

## Wymiana kart pocztowych.

(Za pozwoleniem rodziców lub opiekunów).

**Helena Peretyatkowiczówna** (Łuck, gub. Wołyńska) pragnie zamieniać pocztówki z Sarmatką, Ormianką z Bośni, Kicią P. i Jutrzenką.

**L. Henneberg** (Warszawa, ul. Chłodna Nr. 22 m. 1) życzyłby sobie korespondować z Romanem Roszkowskim, Bolerem A-mol, Wilkiem, Kujawiakiem z nad Warty i Sztubakiem z Wilna.

**Marylka Dadzihoż-Kamieńska** (Woł. gub. p. Teofilipol w Trojanowce) pragnie zamieniać pocztówki z czytelnikami Wieczorów.

**Halszka** (adres jak wyżej) życzy sobie korespondować z Halką z nad Teterowa i Szarą Koteczką.

**Maryla i Henio Wołodkowiczowie** p. Czaszniki, Witeb. gub. maj. Iwańsk) chcieliby zamieniać pocztówki z Chudziakiem, Wiosennem Kwiciem, Irisem, Chmurką z Zachodu, Szarotką z Tatr i Zosią z Pekinu.

**J. Wajda** (p. Pniewo, Warsz. gub. Dobrzelin) chce zamieniać pocztówki z Jadwiśką, Polną Różyczką, Szarotką z Tatr, Marzycielką, Wajdelotką, Halką z nad Teterowa.

**J. Wajda** adres jak wyżej, chciałby zamieniać pocztówki z Konikiem polnym, Filologiem, Czarnym Bratkiem i Wielkim Łobuzem.